Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

Ł. 4. Żółkiew, dnia 1. stycznia 1939. Rok 3



PRZEDPŁATA:
miesięcznie 40 gr.
kwartał. 1 zł. 20 gr.
W sprzedaży:
20 gr. za zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ:
Cała strona 50 zł.
połowa . . 30 zł.
ćwiartka . . 20 zł.
ósemka . . 12 zł.
Drobne ogłoszenia
8 gr. za wyraz;
najmniej 1 zł.

Wychodzi dwa razy w miesiącu.

Naszym współpracownikom, czytelnikom i sympatykom oraz wszystkim Organizacjom polskim działającym na terenie powiatu żółkiewskiego, składamy życzenia

DOBREGO NOWEGO ROKU.

Wydawnictwo „Głosu Ziemi Żółkiewskiej".

Ks. Hestewicz

Na Nowy Rok.

Człowiek współczesny — połowiczny i bawiący się w sto naraz poglądów, który na pewno nic nie wie i wiedzieć nie chce, który boi się wiedzieć i działać na pewno, — przeżywa jednak od czasu do czasu chwile dziwne, które opanowują go i swą bezwzględnością zmuszają do chwilowej przynajmniej bezstronnej refleksji nad własnym postępowaniem w życiu prywatnym, społecznym i politycznym.

Do takich chwil zaliczyć należy w pierwszym rzędzie początek i koniec każdego roku.

Stanęliśmy u końca roku 1938-go.

Wielka rzeka czasu uniosła znowu jeden rok życia naszego ku brzegom wieczności.

Znowu w księdze życiowej przewracamy starą zniszczoną kartę i otwieramy nową.

Zatrzymujemy się na chwilę myślą naszą na tej granicy dwóch lat i zapytujemy siebie: cośmy dobrego uczynili w życiu prywatnym, społecznym i politycznym w roku ubiegłym? A czegośmy zaniedbali? Jakie są dodatnie i jakie ujemne strony naszego życia? Odpowiedź na to pytania da nam ogólne wskazania w jakim kierunku mamy pracować w roku przyszłym — Nowym.

Jak prawie każdy rachunek ma w sobie coś niesympatycznego, tak i ten rachunek —sumienia z dorobku ogólnego wzbudza w nas lęk; czujemy bowiem, że więcej długu, więcej rozchodu jest w bilansie naszym z roku ubiegłego.

Przede wszystkim poziom moralny — uczciwość, obowiązkowość i posłuch dla prawa — tak Boskiego jak i państwowego — zmalały. Kradzieże, rozboje, napady, deptanie praw moralnych i godności ludzkiej przez ograniczanie przyrostu naturalnego ludności polskiej — to katastrofalne niedomaganie naszego życia prywatnego, społecznego i politycznego to zaprzepaszczanie praw polskich do tutejszej ziemi.

Nasza żywa siła narodowa coraz bardziej cofa się za linię Sanu i Bugu, gdy tymczasem ruska lawina się rodzi.

Drugim niedomaganiem i bolączką na naszym terenie to wygodnictwo, marazm życiowy, gadulstwo społeczne (raczej safandulstwo społeczne) i rażący brak jedności i zgody wśród organizacji społecznych.

Trzecim — to lekceważenie i niedocenianie sprawy żydowskiej.

Cóż mamy czynić w roku 1939. aby było lepiej?

Poziom moralny i uczciwość pod każdym względem podniesiemy, gdy za podstawę postępowania naszego — tak w życiu prywatnym, jak i społecznym i politycznym weźmiemy twarde nakazy dziesięciorga przykazań Boskich i uzgodnione z nimi prawo państwowe. Bez obrania zdecydowanego kierunku ideologii katolickiej w życiu prywatnym i społeczno-politycznym położenia naszego, szczególnie tu na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, nie polepszy budowa choćby setek domów ludowych i szumne deklamowanie o konieczności budowy kościołów i kaplic.

Drugie zaś niedomaganie usuniemy przez propagandę i realizowanie idei arcytrudu samostarczalności, pracy fizycznej o ziemi, powszechnego przygotowania technicznego, gospodarczego, wojskowego, zaparcia się siebie wszystkich: u „góry" i na „dole".

Praca ta ma przetworzyć naszą duszę i wydobyć z nas możliwie najwięcej twórczości kulturalnej przy minimach wygody.

Ideę wygody wypalić musimy białym żelazem ofiarnej pracy dla dobra ogólnego.

Niech ramię przy ramieniu stanie do pracy w roku nowym każdy Polak, — każda organizacja polska, aby tym wspólnym — zorganizowanym wysiłkiem rozwinąć powszechne przygotowanie gospodarcze, rolnicze, hodowlane, ogrodnicze, mleczarskie, przetwórcze, rękodzielnicze, przemysłowe, zawodowe.

W roku 1939-tym i w przyszłych powinno stanąć w Polsce tych szkół zawodowych i uniwersytetów ludowych tyle, ile jest szkół powszechnych, aby przetworzyć cały naród od maleństw do starców w jedną armię techniczną.

Dziś szkoła powszechna, acz tak bardzo ważna, musi zejść na plan drugi wobec szkoły najżywotniejszej, szkoły-pogotowia dla ogółu dorosłych.

A kiedy uda nam się zrealizować ten wielki plan, łatwo damy sobie radę z trzecim niedomaganiem. Usuwając tych, którzy przez wieki karmili nas gangreną moralną i oszustwem, pozostawimy garstkę wybitnych—uczciwych Żydów, którzy pod rygorem prawa— ustawy, pracować będą dla dobra Polski. Rok 1939-ty ma być jednym wołaniem o emigrację Żydów z Polski i jej zrealizowanie.

Zadanie wielkie — możliwości ogromne. Obyśmy je zrealizowali w tym Nowym Roku.

Dr. Piotr Ratusiński.

Świętość naszego języka.

„Opatrzność tworząc narody hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów. Ale nie był to jeszcze kres darów. Można by mniemać, że Bóg tworząc Polaków rzekł im: „Oto na domiar wszystkiego daję wam spiż dźwięczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom: daję wam złoto błyszczące a giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą". I została ta mowa, niepożyta jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko „język dawnych Hellenów może się z nią porównać"...

Tymi słowami rozpoczął Sienkiewicz swą mowę, wygłoszoną w r. 1899 przy odsłonięciu pomnika, jaki Miłosław wzniósł dla Juliusza Słowackiego. W Miłosławiu jeden z największych władców naszego języka uczcił mocarza słowa polskiego.

Ażeby stanął pomnik, musi mieć silne na ziemi oparcie — pomniki języka mogą się wznieść tylko na skałach słowa. Prawdą jest, że słowo żywe i pisane wpływa na naród; niemniej jednak pewną jest rzeczą, że spośród siebie takich tylko naród wydaje głosicieli słowa, na jakich sobie zasłuży.

Kade.

PRZYGODA SYLWESTROWA.

Na przyjęciu świątecznym u przyjaciół, gdy już byliśmy w dobrych humorach, proszono mię, abym opowiedział historię o przygodzie w noc sylwestrową z tą przygodną damulką na dworcu.

Wymawiałem się jak umiałem, że może innym razem, bo to tragiczna i smutna historia, a gdy towarzystwo nalegało, zgodziłem się.

A więc było to w noc sylwestrową, gdy wracałem po północy koleją z Zimnej wody do Żółkwi. Przybywszy do Lwowa, miałem jeszcze ponad godzinę czasu do pociągu. By zabić czas spacerowałem po peronie. Na dół do poczekalni nie chciałem schodzić.

Na peronie znajdowało się zaledwie kilka osób. Po kilku minutach i one gdzieś znikły tak, że zostałem sam, a gdy przemierzyłem kilka razy peron tam i z powrotem, podeszła do mnie jakaś młoda sympatyczna pani z małą walizką i zapytała, czy bym nie zechciał odprowadzić jej na ulicę Leona Sapiehy.

Miałem jeszcze ponad godzinę czasu do pociągu, więc się zgodziłem chętnie. Chwyciłem walizkę i poszliśmy.

Po drodze rozgadaliśmy się o tym i owym, w końcu droga zaczęła wydawać mi się za długa. Zauważyłem więc grzecznie, — czy pani dobrze zna drogę?

— Ależ naturalnie, jeszcze kilka kroków — o widzi pan — ta kamienica — odrzekła z uśmiechem.

Zbliżyliśmy się do bramy, którą otworzyła kluczem wyjętym z torebki. Postawiłem walizkę obok i chciałem się pożegnać.

— Ależ proszę wstąpić do mnie

Słowo i język, to tylko część, ale część najistotniejsza tego, co nazywamy narodowością. W języku, jak w arce przeświętej, składa naród wszystkie „przędze myśli i swych uczuć kwiaty“. Jeśli zaś chodzi o język polski, jest on czymś więcej, jest księgą o kartach, jakich darmo by szukać w dziejach innego narodu. W słowo polskie zaklęli czarodzieje tego słowa nie tylko sny i marzenia na tematy cudownej przeszłości, nie tylko łzy i uśmiechy wszystkich pokoleń — jak słonko utrwala w kryształach cudowne blaski tęczy, tak słońce myśli polskiej zamknęło w ramy słów ojczystych cały katechizm, ewangielię, męczeństwo, śmierć i zmartwychwstanie ojczyzny. W słowie polskim znalazł nasz naród skrzydło orła, przenoszącego go silnie i pewnie poprzez wszystkie dole i niedole ojczyzny.

Równolegle z upadkiem państwa polskiego zarastało chwastami i pokrywało się ugorem błonie naszego języka. Lecz zabijane i uśmiercane słowo, na wzór żywej i życia pragnącej istoty, zaczęło tym głośniej wołać o swe prawa, na swej ziemi, dla swego narodu.

„Depce z wzgardą przodków kości,
Już jest w duszy niewolnikiem,
Nurza się w błocie podłości,
Kto mówi wrogów językiem“.

A kiedy panowie polscy, a kiedy urzędnicy i tak zwana szlachta zaczęła się kalać i plugawić brzydkim, bo obcym i wrogim językiem, wtenczas polszczyzna uciekła z wierzchołków narodu, jak ptak umyka z drzewa, które wnet już ma upaść na ziemię, i schroniła się do chatyn i lepianek chłopa polskiego. Każda strzecha polska stała się wyraźnym echem nawoływań poety:

„Ludu, broń się dzielnie, szczerze —
Tarcza twoja w polskim słowie;
Stoisz skałą przy swej wierze,
Stań posągiem przy swej mowie!“

Żadnego narodu dzieje nie wykrzesały tyle miłości i poświęceń dla ojczyzny, co z serc naszych Polek. Z mlekiem swym wpajała matka synowi ukochanie Polski i polszczyzny.

„Polko! W gronie twym domowym
Bądź nam od wroga zasłoną,
Odepchnij go polskim słowem,
Jak czarta wodą święconą“.

Dla odstraszenia od trucizny ducha narodowego, od kaleczenia swej godności cudzą mową, wskazuje nam też słowo polskie polskiego poety, jak ma dom polski wyglądać.

„W polskich to domach się mieści
Mowy polskiej arka święta,
Stoi na niej krzyż boleści,
Leżą krwawe ludu pęta“...

A dziś?... A u nas?... Słowo polskie skąpało się w morzach łez narodu; słowo to tyle już razy maiło nam życie wiecznie świeżymi gałązkami zielonej nadziei; słowo to rało na drogach i ścieżkach życia wszystkie szkarłaty i purpury miłości; słowo to wreszcie wchłonęło w siebie wszystkie światła wiary, by nam grać nieusstannie pieśń młodzieńczą: „Nie zginęła i nie zginie!...“ Dziś słowo polskie przebolało Golgotę, stało się ciałem, wypieśniło nam zmartwychwstanie...

A dziś?... A u nas?... Kto się chlubi imieniem Polki i Polaka, niech się serca swego zapyta, czy nigdy nie płakało na upośledzenie języka ojczystego. Nasze piękne panie, urocze córy naszego grodu przyznają, że duch Żółkiewskich i Sobieskich nie może się nie smucić, kiedy słyszy, jak o pamiątki polskiej chwały obijają się w wolnej Polsce słowa Polek, ale... niepolskie. Czy targi i kupno na polskim rynku i za polskie pieniądze, przez mężów Polaków w Polsce zapracowane, muszą się odbywać w języku, którego ojcowie i matki wasze nie rozumiały?... Czy godzi się to z charakterem prawej Polki, ażeby w ognisko domowe wprowadzić służące nie narodowości polskiej?..

Cały nasz powiat nie ma na pewno grudki ziemi, która by nie mogła być uważana za polski relikwiarz. Wszystkie też pomniki kultury — wszystkie, bez jednego wyjątku — wzniosła tu polska ręka. Komu nie dane, aby wznosił nowe, niech stare wychwala i podziwia, ale w swoim ojczystym języku.

---

na herbatkę, wypijemy tylko po jednej szklaneczce i zaraz pan wróci na stację. — Proszę pozwolić mi na ten mały rewanż za pańską uprzejmość.

Cóż miałem robić, poszedłem. Dama wprowadziła mię po schodach na piętro nie zapalając nigdzie światła. Przeszliśmy po omacku jeden pokój i drugi; wszędzie ciemno, story pospuszczane, nigdzie nie zapaliła światła, i to mię trochę zdziwiło, wreszcie w trzecim pokoju przekręciła kontakt i zabłysła lampa obciągnięta różowym abażurem. Uprzejmie podsunęła mi krzesło, prosząc na chwilę się rozgościć a ja — powiada — pójdę przygotować herbatkę. Zaraz będzie gotowa.

Nawet nie spostrzegłem, którymi drzwiami wyszła, gdyż było ich aż troje. Posiedziawszy chwilę, zacząłem rozglądać się po pokoju, był to miły salonik urządzony nawet z przepychem, tapczan nakryty wzorzystą materią. By skrócić sobie czas, przeglądałem czasopisma, których wiele leżało w nieładzie na stole. Ale czas zaczął mi się wydawać zbyt długim. Jakoś długo robi się ta herbatka, pomyślałem sobie. Upłynęło znów kilka minut w zupełnej ciszy.

Zniecierpliwiony wreszcie czekaniem, spojrzałem na zegarek, miałem jeszcze 20 minut do odejścia pociągu.

Podszedłem do jednych drzwi, były zamknięte, podchodzę do drugich, to samo. Ki diabeł — myślę sobie. Zniecierpliwiony podchodzę do trzecich — otwarte. Otwarte, ale w pokoju obok ciemno. Wołam raz, drugi, nikt się nie odzywa. Przekręcam kontakt, by zapalić światło — światła nie ma. Przechodzę przez pokój do drugich drzwi, otwieram, jakiś pokój — próbuję kontakt, znów światła nie ma. Zapalam zapałkę i przy jej mdłym świetle spostrzegam na kanapie jakiś ludzki kształt; podchodzę bliżej, jakaś osoba.

To chyba ona, myślę sobie, zmęczona zdrzemnęła się i usnęła.

Przy świetle dalszych zapałek

Mieszkańcu wsi polskiej naszego powiatu, bądź dumny z języka w którym cię matka pacierza uczyła, w którym piosnki nuciła nad twoją kołyską.

Dla każdego Polaka jest grzechem i hańbą rozmawiać z bratem w języku niepolskim. Dla każdego człowieka musi być język ojczysty rzeczą świętą, czymś, co nas ma pokrzepiać i w radości i w dzień pracy. Człowiek pracy czci swoją narodowość, szanuje swój język, tylko w języku ojczystym modli się, śpiewa i z drugim rozmawia. Słowem Bóg świat stworzył, słowo polskie dla Polaka jest niewyczerpaną krynicą siły przez całe życie.

„Słowo jest tak wielką siłą,
Że jej żadna moc nie zwali,
Słowo świat ten utworzyło,
Słowo i ten kraj ocali“.

Aleksander Baumgardten.

Żółkiew i jej sprawy.

Niewielkie, niereklamowane miasteczko. Zaszyte w swych czterech murach, żarliwie odmawiające różaniec minionych lat, różaniec długi, w klejnoty wylanej w walce z pohańcami krwi zdobny — przecie trwa, przecie żyje — bo pamięta.

A ma o czym pamiętać. Świetne splendorem pełne ongi w Rzpltej postacie i nazwiska tu, w tej Żółkwi cichej wykwitały, żyły, mijały. Nie dziwne tej skromnej, małej mieścinie królewskie gronostaje ni hetmańskie buzdygany, jak nie dziwne jej były strzały tatarskie, czy kozackie spisy samopały. Nie było bowiem niemal roku, żeby na obszernym rynku przed bramą warownego zamku-krzywuły-a surmy larum wojennego grać nie musiały. Zwodzono mosty, rozstawiano po murach wojsko, gotowano broń, lano hule. — ...Tak bywało, gdy pan miasta, jego obrońca i tarcza był nieobecny. Wtedy było ciężko. Harcownicy pohańscy bezkarnie naigrywać się mogli przed okiem skrytych za murami mieszczan, oczywiście w przyzwoitej odległości — na strzał z muszkietu. Ale zato biada i gorze Tatarzynowi, który się w dalekim choćby promieniu zamkowych strzelnic pokazał, gdy pan rezydował na zamku. Jak piorun spadała nań zbrojna pięść Żółkiewskich, Daniłłowiczów, Sobieskich czy Herbułów a największy nawet zagon wraży w puch roznosiły kopyta koni żółkiewskich rycerzy.

Ległoby to miasto kamienną piersią na szlaku tatarskich hord. Za zębate mury grodu — dostać się mógł niewierny — tylko jako jeniec. Mogłyby coś o tem powiedzieć lochy i srogie piwnice żółkiewskiego zamczyska. Wszakżeż wzgórze, na którym stanęła jedna z najpiękniejszych świątyń Rzpltej — fara żółkiewska — usypane zostało rękami, które dotychczas znały tylko rozkosz przelewania chrześcijańskiej krwi i swąd z dymem puszczanego dobytku — rękami tatarskich jeńców. Do dzisiejszych dni spotyka się w żółkiewskim powiecie nazwiska i twarze tatarskie. Ano — rozmaite bywały losy wojny.

Ale zato czasu pokoju pięknie bywało na wielkohetmańskim grodzie. W dni świąteczne, po nabożeństwie u Fary, pan miasta przyjmował gości a co zacniejszych miejscowych potentantów u siebie na pokojach. Cudne a srodze solenne bywały msze u Fary. Jakże bo! — jeden z najpiękniejszych kościołów Rzpltej, cud architektury późnorenesansowej — kościół farny w odświętne się szaty przyodziewał, adamaszkiem albo suknem czerwonem zakrywano ściany i ławy kościelne. Ławy kollatorskie, ozdobnie rzezane, zapełniały się tłumem zacniejszych, zagranicznych gości. Kogo ta Żółkiew nie widziała! Zagraniczni posłowie, których przyjmował Jan III Sobieski, cudzoziemcy podróżujący po Polce, legaci papiescy, książę siedmiogrodzki Rakoczy, król Zygmunt III Waza, car Piotr Wielki, Bohdan Chmielnicki (który jakoby miał z tych stron pochodzić), arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec cesarza Franciszka Józefa, wszyscy oni krócej, czy dłużej, bawili w Żółkwi. Portret Rakoczego, klęczącego wraz z żoną u stóp Matki Bożej, zdobi do dnia dzisiejszego ściany ko-

---

uchylam kołdrę, chwytam za ramię, spostrzegam, że to mężczyzna.

Mąż — przyszło mi na myśl — będzie awantura. Ale mimo wszystko postanowiłem go obudzić.

Poruszam go — nic. Nachylam się nad leżącym, blady — usta sine. Tknięty złym przeczuciem, chwytam za rękę — zimna — trup.

Ach! wykrzyknęła jedna z pań, której nerwy były napięte.

Włosy stanęły mi na głowie. Niewiem nawet jakim sposobem znalazłem się na dole, ale tu nowa niespodzianka. Brama zamknięta. Zdenerwowany do najwyższego stopnia, myślę jakby się wydostać, gdy nagle słyszę pod bramą głosy. Ktoś wkłada klucz do zamku. Otwiera się brama, już miałem skoczyć do bramy, gdy w świetle lampy ulicznej ujrzałem dwóch policjantów a z nimi moją znajomą.

Zauważywszy mnie powiada do posterunkowych: oto morderca mego męża.

Na te słowa zupełnie zgłupiałem— nie wiedziałem co się ze mną dzieje.

Nałożyli mi kajdanki na ręce i poprowadzili środkiem ulicy.

— Nie mógł się pan wylegitymować i wytłumaczyć jakoś — wybuchnęła ze zdenerwowania jedna z pań.

— Niestety, nie miałem żadnej legitymacji przy sobie, zresztą nie dano mi przyjść do słowa.

W pokoju było cicho jakby makiem siał.

Ja spokojnie sięgnąłem po kanapkę z szynką, ugryzłem raz i drugi i zacząłem popijac napół wystygłą herbarę.

No, skończ że wpierw — zawołała zniecierpliwiona żona, — wiec cię zaaresztowali i co było dalej?

Dalej? — niewiem — bo się już obudziłem. —

Pamiętaj o Pomocy Zimowej.

ścioła farnego, na równi z czterema olbrzymimi obrazami przedstawiającymi bitwy pod Kłuszynem, Wiedniem, Chocimem i Parkanami. W tym właśnie kościele na nagrobku Żółkiewskich umieszczono piękny cytat z Wirgiliusza: „z kości naszych powstanie mściciel“. Słowa te przez długie lata sławne były w całej polskiej ziemi okutej w pęta niewoli, — jakżeż proroczymi się one okazały. Kościół farny w Żółkwi, to prześliczny wycinek z historii Rzpltej, to barwna plansza wykwitająca na szarzyźnie dnia codziennego wspomnieniem dawnych — wigoru i bujności pełnych czasów.

A zamek: potężna XVII-wieczna budowla ze wspaniałym portykiem wiodącym na olbrzymi wewnętrzny dziedziniec. — I dalej wnętrze, cały labirynt grubych murów, zakątków, dziwnych przejść, baszt, wąskich strzelnic, jednym słowem cały, skamieniały w swym pochodzie wiek XVII. I mimowoli zwiduje się człowiekowi na jakimś zakręcie korytarza barwny kontusz, palone buty i łyskliwa karabela a w uszach nie cisza, ale jakiś dźwięczny, rycerski krok dzwoni.

C. d. n.

Jan Esteb.

HUK PUSTEJ BECZKI.

Trudno zaiste zrozumieć podstawy nastrojów, które ogarnęły ostatnio nasze Małopolskie społeczeństwo. Tajemnicze szepty na ucho, powódź plotek, złe przeczucia, a wreszcie groźne „przypomnimy im rok 1918“ świadczyłoby o jakiejś groźbie, jakimś nieuchwytnym niebezpieczeństwie.

....Co nam grozi? Gdzież i co?...

Chwilowe interesy ościennych państw, stworzyły tuż obok nas, po tamtej stronie Karpat, maleńki, nędzny, bez dróg i kolei, rachityczny twór — autonomiczną Ruś Zakarpacką — twór pozbawiony wszystkiego, co do życia państwa jest potrzebne. Stolicą tego śmiesznego elaboratu jest mała żydowska mieścina (wielkości Żółkwi) Huszt, a tak zwanym „premierem“ polski „wypędek“ kś. Wołoszyn, wychowanek ideowy przemyskich O.O. Bazylianów, syn diaka cerkiewnego z pod Nowego Zagórza w sanockim. — Otóż ten Wołoszyn—przy pomocy sobie podobnych wypędków — i żandarmerii czecho-słowackiej przystąpił naturalnie za wiedzą i zgodą Pragi — do tworzenia — wbrew woli ludności ruskiej, Zakarpacia, ciążącej politycznie, historycznie i gospodarczo do Węgier — do tworzenia „Samostijnej Ukrainy“. Bagnet, granat, pałka i obozy koncentracyjne oto argumenty, którymi Wołoszyn „budzi“ ukraiński naród z niewoli. Prasa ruska zakarpacia i nasza, radio czeskie trąbi na cały świat, że premier Wołoszyn urzęduje, że Huszt jest metropolią, że cała sowiecka ukraina czeka na Wołoszyna i t.d. ale tak my, jak oni zdają sobie doskonale sprawę z tego, że jak cienkim włosku kapryśnej koniunktury i gry obcych interesów, wisi dziwny ten twór, wraz z rządem i „gwardią“. Wiemy my i oni, ile wrzawy, zakłamania i krzyku wymaga zatuszowanie prawdy o stanie Zakarpacia.

Faktem jest, że utrzymanie tej 30 kilometrowej szerokości „kiszki“, pozbawionej wszelkiej politycznej i gospodarczej racji, dojść może do skutku tylko olbrzymim wysiłkiem i najwyższym wkładem kosztów Niemiec, którzy Ruś Zakarpacką upatrzyli sobie jako podstawę wyjściową swych awanturniczych planów na Wschód. Ile to czasu, ile miliardów trzeba, aby mrzonki III Rzeszy nabrały rąk i nóg.

Pytamy! czy to jest powodem paniki??...

Przecież ta sama Ruś Zakarpacka jeszcze wczoraj była bazą bolszewicką! Tamtędy biegły szlaki, którymi płynąć miały hordy „czerwonego cara“, oskrzydliwując i szachując południowo-zachodnie bastiony Rzeczypospolitej. Dziś sytuacja się zmieniła. — Nie bolszewik na zachód, ale Niemiec na wschód „korytarzykiem“ tym zamierza czynić wypady. — Jak przedtem tak i teraz historia skończy się na fantazji. Niezłomna wola ruskiego ludu Zakarpacia zwycięży, mimo Wołoszynowej pałki i błazeńskich „zajaw“ miejscowych polityków.

Idea polsko-węgierskiej granicy jest ciągle aktualna.

A może panikarzom nie o Ruś lecz o rzecz inną chodzi? — O zwąchanie się Niemców z Rusinami i utopijne plany „wielkiej samoistijnej Ukrainy“, w skład której wchodzić mają Węgry, Słowacja, Bukowina, Bessarabia, Sowiecka Ukraina po Kaukaz, Ural i t. d. Chiny, Japonia i co łaska...

Panowie panikarze! wystarczy wam przypomnieć naszą Armię! i żyjący w Narodzie duch Sobieskich i Piłsudskich. — — — — — —

Czasy „traktatów brzeskich“ to czasy tak dawne, że są nieomal przykrym mitem, minionym koszmarnym snem. Polska dzisiejsza, panowie panikarze, to potęga. Polska dzisiejsza to nie tchórzliwa Czechia. My mamy wiarę w swe siły i w razie czego bić się potrafimy, bo bronić się chcemy i nie przestraszy nas pusta wołoszynowa beczka, a wasze plotki i „złe przeczucia“ panowie panikarze, to małoduszność tchórzów, która oczywista jest bardzo na rękę żywiołom, bijącym o byle głupstwo w cerkiewne dzwony. —

Z ŻYCIA Z. S.

Oddział Żeński Związku Strzeleckiego Żółkiew — obchodził w dniu 26 listopada b. r. wielką uroczystość z okazji 10-letniej rocznicy swego istnienia. Rano o godz. 8-mej odbyła się msza św. w której udział wziął Zarząd Oddziału Żeńskiego Z. S., członkinie czynne i współdziałające. Wieczorem tegoż dnia w świetlicy Oddziału Męskiego Z. S. odbyła się Akademia. Program tej Akademii obejmował dwie części: poważną i wesołą.

Oto co piszą strzelczynie:

„Kiedy świetlica wypełniła się po brzegi widzami i kiedy — jak mówi jedna z obywatelek — „był już tłum na sali“ — podniosła się kurtyna i wszystkim ciekawie patrzącym na scenę ukazały się nasze blade twarze... Stałyśmy w półkolu po jednej i po drugiej stronie popiersia Marszałka Piłsudskiego. Tę część Akademii poświęciłyśmy Jemu, bo to nasz pierwszy Komendant, twórca Związku Strzeleckiego!

Na komendę „Do modlitwy“ mi-

mo wielkiej tremy, rozpoczęliśmy spiew. Jak wypadł ten pierwszy punkt programu niewiadomo — w każdym razie ta bladość na twarzy jeszcze nie ustąpiła... Dopiero po przemówieniu naszej Pow. Prezeski p. Kienzlerowej, zrobiło się nam trochę „cieplej". Głos ma teraz Komendantka Oddziału i mówi do Marszałka tak, jakby on był żyw i słuchał:

„Nie darmo całym życiem Swoim
Nauczyłeś nas Wodzu walczyć,
Musi nam do pracy i na boje
Sił i wytrwania wystarczyć".

Wszystkie myślałyśmy tak, jak ona w tej chwili i ślubowałyśmy Marszałkowi, że kochać będziemy Polskę tak, jak On, i gdyby Ojczyzna nas wezwała złożymy z życia dar i z krwi. A Marszałek patrzył na nas spod krzaczastych brwi i słuchał... Więc śpiewałyśmy, patrząc na Niego: „To nieprawda, że Ciebie już nie ma, to nie prawda, że jesteś już w grobie, choć uparcie wracała do nas myśl o dniu 12 maja 1935 r. — Teraz nasza solistka przejęła chwilą, zaśpiewała z uczuciem:

„Trzeci rok bez Ciebie minął,
Poszłeś w kraj daleki".

Nasze żołnierskie oczy zwilgotniały i myśli biegły tam gdzie On jest. — Kurtyna spadła. Trzeba było zejść do garderoby, otrząść się z nadmiaru smutku i oblec się w płaszcz żołnierski, bo to teraz szósty punkt programu „Ułani Beliny". I znów było wszystkim smutno, gdy nad ułanami śpiewały strzelczynie:

„Krwi krople na polu zakwitły jak mak
Ułani Beliny, ułani".

A po tym inscenizacja pieśni „Białe róże". Jasio poszedł na wojnę, a dziewczyna nie może znaleźć pocieszenia i płacze. W dodatku jeszcze ten chór dośpiewuje:

„Hej dziewczyno, ułan w polu padł".

Na zakończenie pierwszej części, dajemy „Kwaterę". Żołnierze są na kwaterze u dziewczyny, jej było dobrze z nimi, a im z nią, więc pomaszerowała z nimi na wojenkę. —

Jest przerwa, a po niej druga część ta wesoła. Nie ma już teraz ni ułanów, ni strzelczyń, są tylko: Ślązacy, Kujawiacy i Krakowiacy. Odsłania się kurtyna, stoimy w dwóch trójkach. Patrzą na nas kochane twarze naszych najbliższych: p. Prezesa Powiatu insp. Bonczara, naszej Prezeski Oddziałowej p. Gettingerowej, p. Sabiny, p. Funci i t. d., i śmieją się do nas. Nas to zachęca i dodaje otuchy. Tańczymy „Śląskiego", a harmonia p. Adasia tak cudnie gra: „Zasiali górale żyto, żyto".

A teraz uwaga: Ostatnia figura „Śląskiego" skończona...

„Pana Prezesa bardzo kochamy,
I wielką wdzięczność dla Niego mamy,
Ojej, ojej, ojejej, ojejej, ojej, ojejej.
Teraz Prezesie kup nam mundury,
Bo nam w drelichach świecą już dziury.
Ojej, ojej, i t. d."

Śmieją się wszyscy i Pan Prezes Ta chwila była dla nas najszczęśliwsza: przynajmniej w piosence można było wyśpiewać. . Kurtyna.

Udało się. W garderobie gwar i zamieszanie. Ślązak przebiera się za dziewczynę, pomagają kto może, a najgorzej to już z tymi spodniami, no i z tą nieszczęsną spódnicą, która w ostatniej chwili rozluźniła się w pasie... Ale oto już na scenie stoi dziewczyna i czeka miłego, a tymczasem od leszczyny deszcz idzie. Ale miły przyjechał z kapeluchem w ręku po to, aby za chwilę odjechać, no bo mu ona powiedziała: „żeś ty nie jest gospodarz". —

Przygotowujemy się do Kujawiaka. Ten taniec znacznie wcześniej wszyscy by zobaczyli, gdyby nie to, że jedna kujawianka dopiero na scenie sobie przypomniała, że nie jest upudrowana... Tańczyłoby się dobrze, gdyby nie te duże buty wiceKomendanta... ojej, co to za duże buty!

Teraz już napływali goście do garderoby, aby nam gratulować.

Po skończonych brawach znów byliśmy na scenie, jako Jaś i Kasia z piosenki ludowej. „Jest ścieżyna jest przez caluśką wieś". — Tylko całe nieszczęście, że siódma się zbliżała i nasz Powiatowy Prezes musiał iść do pociągu. Chciałyśmy bardzo, aby jeszcze „Krakowiaka" zobaczył, więc tańczyły go w tempie amerykańskim, aż spodnie z cholew wylazły... a P. Prezes był już ubrany. Po „Krakowiaku" było jeszcze „Świeci miesiąc na niebie", a na zakończenie nasze kuplety o wszystkich: o Zarządzie, kapitanie, komendancie pow. i o ojcu, który mówi stale „Daj Boże".

Najlepiej podobały się te, o których krakowiak powiedział że... zapomniał jak dalej. —

Dodać należy, że program tej Akademii powtarzałyśmy w Świetlicy żołnierskiej 6 p. S. K., nieco później w „Sokole" na Poranku, którego dochód był przeznaczony na Pomoc Zimową. — Więc niech nam ktoś zarzuci, że nie pracujemy!!!

KRONIKA.

WIADOMOŚCI Z MIASTA.

Grypa szaleje. Co dzień ktoś inny wali się do łóżka i zaczyna się grypić ku zadowoleniu aptek i składów monopolowych. Tegoroczna bowiem grypcia wymaga dwóch rzeczy, aspiryny (tej droższej a 25 gr. proszek) podlanej „wyborową" oraz żytniówki wzmocnionej Begem. Tak pielęgnowana, daje na „pe" pięć dni urlopu od kłopotów życiowych i trosk biurowych, jak to ma miejsce w Magistracie i poczcie. Obie te instytucje gnębi grypa ze specjalną złośliwością. Pocztę, za centralę telefoniczną, Magistrat zaś za wszystkie grzechy ubiegłego roku, a w szczególności za brak kąpieliska i łaźni, co do której chodzi po mieście fama, że ojcowie miasta liczą na spadek po tych „którzy wyemigrują" pozostawiając mykwę na pastwę tubylczych brudasów.

Mówiąc o brudasach, musimy zwrócić uwagę miarodajnym czynnikom miejskim na ulice Pereca, Sobieskiego, Krawiecką i inne zamieszkane przez specjalnie niechlujnych obywateli, którzy fronty swych mieszgarnirują stertami śmiecia i popiołu oraz wstrętnymi plamami po płynnych nieczystościach. Świeża biel śnieżna zdradza tych amatorów brudu, których możnaby nauczyć, oczywista drogą represyj, czystości. Uczciwości zaś i poszanowania cudzej własności należałoby narazie nauczyć amatorów cu

dzych rowerów. — Znów skradziono rower. Tym razem damski, a ofiarą padła uczenica tut. liceum, córka nauczyciela. Rower skradziono z zamkniętego ganku. — Także z ganku skradziono na szkodę jednego z mieszczan w noc wigilijną większą ilość świątecznych zapasów — po których ślad już zaginął, jakkolwiek w przyrodzie nic nie ginie, jak nie zginęła nazwa Seminarium — odnośnie do magistrackiej kamieniczki przy placu Dominikańskim. — Otóż w tym budynku poseminaryjnym urządza się w tej chwili „Powiatowy Ośrodek Zdrowia" typu miejskiego. — Ośrodek składać się będzie z szeregu ubikacyj mieszczących 1) przychodnię przeciwgruźliczą, 2) przychodnię przeciwjagliczą, 3) przychodnię przeciwweneryczną i 4) poradnię dla matek i dzieci. Szerzej o tej tak bardzo potrzebnej dla powiatu instytucji pomówimy na innym miejscu, na tapecie bowiem jest budynek „Seminarium". Otóż budynek ten stał się od pewnego czasu Mekką miejscowej biedoty, — która w godzinach od 12 do 14 otrzymuje tam bezpłatnie obiady. Obiady takie, złożone z wcale smacznej zupy i porcji chleba, mają w bieżącym roku duże powodzenie. W tej chwili z obiadów korzysta około 200 osób miejscowych i wędrownych. Z obiadów korzystają przede wszystkim bezrobotni, następnie zaś starcy i biedni. Kuchnią opiekują się nasze ofiarne panie, fundusze natomiast płyną z miejscowego Komitetu „Pomocy Zimowej". Dla żydów jest urządzona specjalna kuchnia rytualna.

KONFERENCJA POSELSKA.

Pan poseł Górski Fr. wygłosił w środę w sali Rady miejskiej wyczerpujący referat na tematy aktualne ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień stosunków polityczno gospodarczych i społecznych naszego powiatu. Po prelekcji wywiązała się bardzo ożywiona dyskusja.

Przyczynisz się do zmniejszenia analfabetyzmu popierając T. S. L.

W. Nęciński.

KĄCIK GOSPODARCZY.

ZADANIE GMIN ZBIOROWYCH
w kierunku popierania rolnictwa.

Popieranie rolnictwa przez poszczególne gminy zbiorowe, w dużej mierze zależy od osoby i nastawienia Wójta.

Jak gminy mają popierać rolnictwo: Zależy to od warunków lokalnych. W pierwszej mierze winny rozwiązać te problemy, które są dlań najpilniejsze i najkonieczniejsze.

Problem ten przyczynia się może do usprawnienia gospodarki rolnej, do zapewnienia lepszej egzystencji rolnikowi. Przy tej pracy na wsi jakże łatwo może gmina wraz z Wójtem zdobyć jej zaufanie i jak łatwo może zrealizować trudne przedsięwzięcia. Wójt nie musi być rolnikiem, ale musi być dobrym gospodarzem i rozumieć potrzeby rolnika i przyjść mu z pomocą, a nie tylko po ściągnięcie podatków.

Fundusze Wydziału Powiatowego, które idą na popieranie rolnictwa są niewystarczające, dlatego też poszczególne gminy zbiorowe w swoich budżetach w dz. X. winny znaleźć potrzebne fundusze na poparcie rolnictwa, a w szczególności na: 1) meliorację, która w naszym powiecie jest sprawą bardzo pilną i podstawową, 2) na zagospodarowanie pastwisk gromadzkich, gdyż nie zagospodarowane pastwiska w przeciągu trzech lat będą zlikwidowane, 3) na zakup narzędzi łąkarskich, a to skaryfikatorów i bron łąkowych, które winny znaleźć się w każdej gromadzie, gdyż obecnie przyznanie 5-letniego kredytu Banku Rolnego na zagospodarowanie łąk uzależnia się od posiadania tych narzędzi, 4) subwencję dla gospodarzy, którzy zakupią buhaje rodowodowe i knury, 5) na kursy gospodarcze, 6) na kontrolę mleczności, 7) subwencje dla uczni szkół rolniczych, 8) na opiekę weterynaryjną i rozmaite cele w zależności od potrzeb lokalnych.

W każdej. gminie są Komisje Rolne, które winny zainteresować się powyższym problemem, gdyż do tego są one powołane.

Jak podkarmiać pszczoły w zimie.

Dobry, doświadczony pszczelarz dba o zaopatrzenie na zimę pszczół w pokarm, dlatego nie może zupełnie zabierać pszczołom miodu, często nawet musi dawać im jeszcze cukier.

Badania wykazały, że na początku zimy pszczoły zjadają bardzo mało miodu. Zebrane w kłąb myślą tylko o przetrwaniu, odżywiają się też tylko tyle, by zachować w ulu potrzebną ciepłotę.

Gdybyśmy obserwowali pszczoły zebrane w kłębie, to zauważylibyśmy, że bezruch roju jest tylko pozorny, co pewien czas pszczoły znajdujące się zzewnątrz kłęba, wciskają się do środka, gdzie ogrzewają się i posilają Jeżeli w ulu jest ciepło, dzięki należytemu dostosowaniu gniazda i dobremu jego zaopatrzeniu, to spożycie miodu jest bardzo nieznaczne, tym niemniej zapasy zmniejszają się stale choć powoli.

Długoletnie doświadczenie licznych bartników wykazuje, że w normalnych warunkach pszczoły, zimujące na [illegible]czku, zjadają w ciągu zimy do 14 kg. O ile zima jest łagodna, a pasieczysko osłonięte od wiatru, wystarczą nieco mniejsze zapasy, ale lepiej być przezornym i przewidując najgorsze, dobrze zabezpieczyć pszczoły przed mrozem.

Znaczna część pni idzie na zimę niedostatecznie zaopatrzona w miód, często bardzo zachodzi potrzeba podkarmiania ratunkowego w zimie.

Dnia 21 grudnia r. b. odbył się w Turynce pierwszy spęd trzody chlewnej. Na spędzie zostały zakupione świnie przeważnie mięsne, przez delegata bekoniarni

Zakup odbywał się na wagę.

W przyszłości będą zakupywane świnie bekonowe w wadze od 90 do do 120 kg. dla bekoniarń zaś świnie cięższe i słoninowe będą zakupywane i dostarczane do stajni spędowej w Krystynopolu. Za świnie słoninowe będzie płacona wyższa cena.

Przy tym należy zaznaczyć iż spędy mają dwojaki cel: pierwszy by ułatwić rolnikowi sprzedanie swego produktu bezpośrednio do fabryki, drugi by nastawić hodowlę trzody chlewnej na właściwe tory, to znaczy na hodowlę świń typu bekonowego, najwięcej opłacalnego. W przyszłości będzie dostarczany dla dostawców materiał hodowlany.

Akcja powyższa znalazła zrozumienie w sferach producentów trzody chlewnej.

Na spędzie nie obeszło się bez incydentu. Przedstawiciel, czy delegat kupców od nierogacizny, aż z Tomaszowa, po nieudanym zakupie, a raczej przeszkodzeniu w zakupie świń na wagę — powędrował na Posterunek P. P. w Turynce, skąd piechotą udał się na spóźniony targ do Mostów W.

Następny spęd odbędzie się w Turynce dnia 5 stycznia 1939 r.

Rozumie się samo przez się, że w czasie mrozów nie można podkarmiać pszczół na dworze, gdy zdrętwiałe w półśnie osypują się przy lada poruszeniu z plastrów na dno ula, gdzie krzepną nie mogąc się ogrzać w pojedynkę. Przed przystąpieniem więc do podkarmiania trzeba pszczoły stopniowo ożywiać. W tym celu głodny pień przenosi się do ciepłego pokoju, gdzie pszczoły ożywają, rozchodzą się z kłęba i nabierają zwykłej swej zwinności. Dla zapobieżenia rozłażeniu się pszczół po izbie, należy wyloty zasiatkować, a poza tym okna w izbie szczelnie zasłonić, aby było zupełnie ciemno. Przy pracy w ulu można się posługiwać zwykłą latarką, lub lamką elektryczną.

Podkarmiając pszczoły w zimie, najlepiej byłoby zupełnić zapasy przez dodanie rojowi plastrów z poszytym miodem. Uzupełnienie zapasów pszczelich plastrami z miodem jest najmniej kłopotliwe. Jeżeli bowiem na jesieni położylśmy na ramkach gniazdowych patyczki, ułatwiające pszczołom przejście ze środkowych plastrów na brzeżne, wystarczy po przeniesieniu ula do izby, podnieść ostrożnie płótno i wstawić plastry z obydwóch stron gniazda, a jedynie, jeżeli brzeżny plaster gniazdowy jest już pusty, można go usunąć, aby nie powiększać gniazda. Jeżeli na jesieni zapomnieliśmy o daniu patyczków, to w ciepły dzień odwilży, po zasiatkowaniu wylotów, otwieramy ul i układamy pod płótno w poprzek gniazda trzy patyczki grubości normalnego ołówka. Patyczki te dajemy odrazu nieco dłuższe, by następnie umożliwiły pszczołom przejście na dostawione plastry. Zrobienie tego przejścia górnego jest konieczne, bo pod gniazdem jest znacznie zimniej, podobnie jak po bokach gniazda i pszczoły nie mogą tędy przechodzić na sąsiednie ramki, gdyż rozchodząc się z kłębka drętwieją z zimna. U góry tymczasem jest znacznie cieplej.

Po ułożeniu patyczków, gniazdo szybko okrywamy z powrotem i gdy pszczoły uspokoją się zupełnie, przenosimy ul do izby dla dostawienia plastra z miodem.

Niestety, w przeciętnej pasiece nie ma o tej porze plastrów z poszytym miodem, bo coprawda, przechowanie takich plastrów jest dość trudne. Plastry z miodem przechowują się dobrze jedynie w pokoju ciepłym, stale opalanym, zabezpieczonym od zmian ciepłoty. I tu jednak trzeba je zabezpieczyć od pyłu i szkodników i dlatego najlepiej trzymać je w szczelnej szafie, zamkniętej na klucz.

Nawet w tak dobrych warunkach miód odparowuje trochę i traci nieco na spoistości. O ile jednak widzimy, że nic a nic nie sfermentował, dajemy go pszczołom. W razie jednk najmniejszej wątpliwości co do wartości miodu, lepiej nie używać go dla pszczół.

O ile więc nie mamy u siebie dobrze przechowanych plastrów z poszytym miodem, zastosujemy lepiej podkarmianie cukrem, który aczkolwiek mniej posilny od miodu, ma tę nad nim wyższość, że nawet nie poszyty, nie fermentuje.

Podkarmianie syropem, stosowane zwykle na jesieni i przy podkarmianiu spekulacyjnym, jest obecnie nie wskazane, gdyż pobudza ono matkę do obfitszego czerwienia, co jest jeszcze nie pożądane. Dla tego też tylko bardzo głodnym pszczołom, które musimy na gwałt ratować, można z początku dać z pół litra syropu, aby prędzej się posiliły, a następnie, podobnie jak i pszczoły mniej głodne, należy podkarmiać cukrem w formie stałej.

Syrop najlepiej poddawać w plastrach, do których wpryskuje się przy pomocy sikawki, trzymając plastry zupełnie pionowo. C. d. n.

Redaktor: Prof. STANISŁAW BIETKOWSKI, ŻÓŁKIEW.

Adres Administracji: Żółkiew ul. Mnisza 36.

Drukarnia Polska w Żółkwi.